MAŁY PRZEGLĄD
pismo dzieci i młodzieży

Wychodzi co piątek rano
korespondencje i materjały kierować należy do redakcji „MAŁEGO-PRZEGLĄDU" Nowolipki 7.

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 285 (3985) „NASZEGO PRZEGLĄDU"

Siódma rocznica

Dotychczas w numerach rocznicowych redakcja składała sprawozdania, czytelnicy krytykowali i proponowali.

Dziś sami możecie napisać sprawozdanie. Widzicie, że lepsze są listy i artykuły, wiecie, że w porównaniu z zeszłym rokiem nadesłano o 1000 rękopisów więcej, dlatego powiększono objętość pisma do 6 stron. W swoim czasie czytaliście, że redakcja przyjęła w tym roku 270 interesantów, że w czterech miastach zawieszono skrzynki Małego Przeglądu i wybrano odpowiedzialnych korespondentów. Jakie sprawy poruszono, jakie działy wprowadzono, — chyba pamiętacie. O ilości pocztówek i książek były wzmianki. Z ankiety, konkursów i turnieju złożono już sprawozdania, a o tem, jak reporterzy spróbowali wyruszyć w świat i co nam przywieźli,— oni sami opowiedzieli.

Tak więc po raz pierwszy sprawozdanie w numerze rocznicowym okazało się zbytecznem. Krytyka natomiast jest potrzebna, ale i jej niema. Tylko Henryk i Seweryn wskazują na wady Małego Przeglądu, przyczem artykuł Seweryna, napisany w zeszłym roku, nie jest już aktualny, gdyż to, co krytykuje, zostało usunięte bądź zreformowane. Pozostaje tylko artykuł Henryka p. t. „Wierzę w Mały Przegląd". Zamieszczamy go na pierwszej stronie pod innym tytułem — „Pismo konwencjonalne", aby zwrócić uwagę czytelnika na główny zarzut.

Brak krytyki nie jest dowodem doskonałości pisma. Świadczy tylko o tem, że korespondenci i czytelnicy są narazie zadowoleni ze wszystkich zmian i niespodzianek, że jeszcze nie dostrzegli ich stron ujemnych.

Eljasz widzi już w niedalekiej przyszłości „Mały Przegląd" idealny. Nie łudźmy się. Tak nigdy nie będzie z tej prostej przyczyny, że osiągając cele zamierzone, zawsze potem dostrzega się skutki niezamierzone.

Dążyliśmy do aktualizacji materjału, do podniesienia poziomu pisma, do rozszerzenia skali poruszanych spraw i zainteresowań. Mamy to, czego chcieliśmy, ale obok widzimy dwa zjawiska bardzo niebezpieczne:

1. — Oto z pośród ogromnej gromady korespondentów wysunęła się grupa 25 współpracowników pożytecznych i popularnych, jednakże niekiedy zagłuszających głosy gromady; więc znów nowe trudności i zadania: jak bez obniżenia osiągniętego poziomu zachować masowy charakter pisma?

2. — Statystyka nasza wykazuje, że rośnie grupa najmłodszych korespondentów i grupa młodzieży. Natomiast „średniacy", którzy już nie piszą miłych, krótkich liścików do działu p. n. „Co u nas słychać?", a jeszcze nie mogą pisać takich długich artykułów, jak młodzież, potracili głowy i nie znajdują miejsca dla siebie.

— Młodsi chyba nie zachwycają się, bo „M. P." spoważniał, ale i ja spoważniałam, i jestem zadowolona, — z rozbrajającą szczerością wyznaje Aneri.

— Z przyjemnością obserwowałam stopniowy zanik Alusiów, — egoistycznie i lekkomyślnie oświadcza Franka z Przyokopowej.

Egoistycznie, bo chciałaby mieć cały numer wyłącznie dla siebie, lekkomyślnie — ze względu na zadania i przyszłość pisma — bo z Alusiów wyrastają Aleksandry, których lubi i podziwia.

Mówimy to w tym celu, abyście po przeczytaniu artykułów, niestety „świątecznych", nie myśleli, że wszystko u nas w porządku, i nie milczeli, jak Eljasz. Ma on słuszność tylko wtedy, gdy radzi krytykować rzeczowo i rozważnie.

Wspólnemi siłami wybrnęliśmy z wielu kłopotów i trudności. Miejmy nadzieję, że i tym razem damy sobie radę.

Świętem będzie jubileusz dziesięciolecia. Teraz zamykamy dopiero siódmy i rozpoczynamy ósmy rok istnienia naszego pisma.

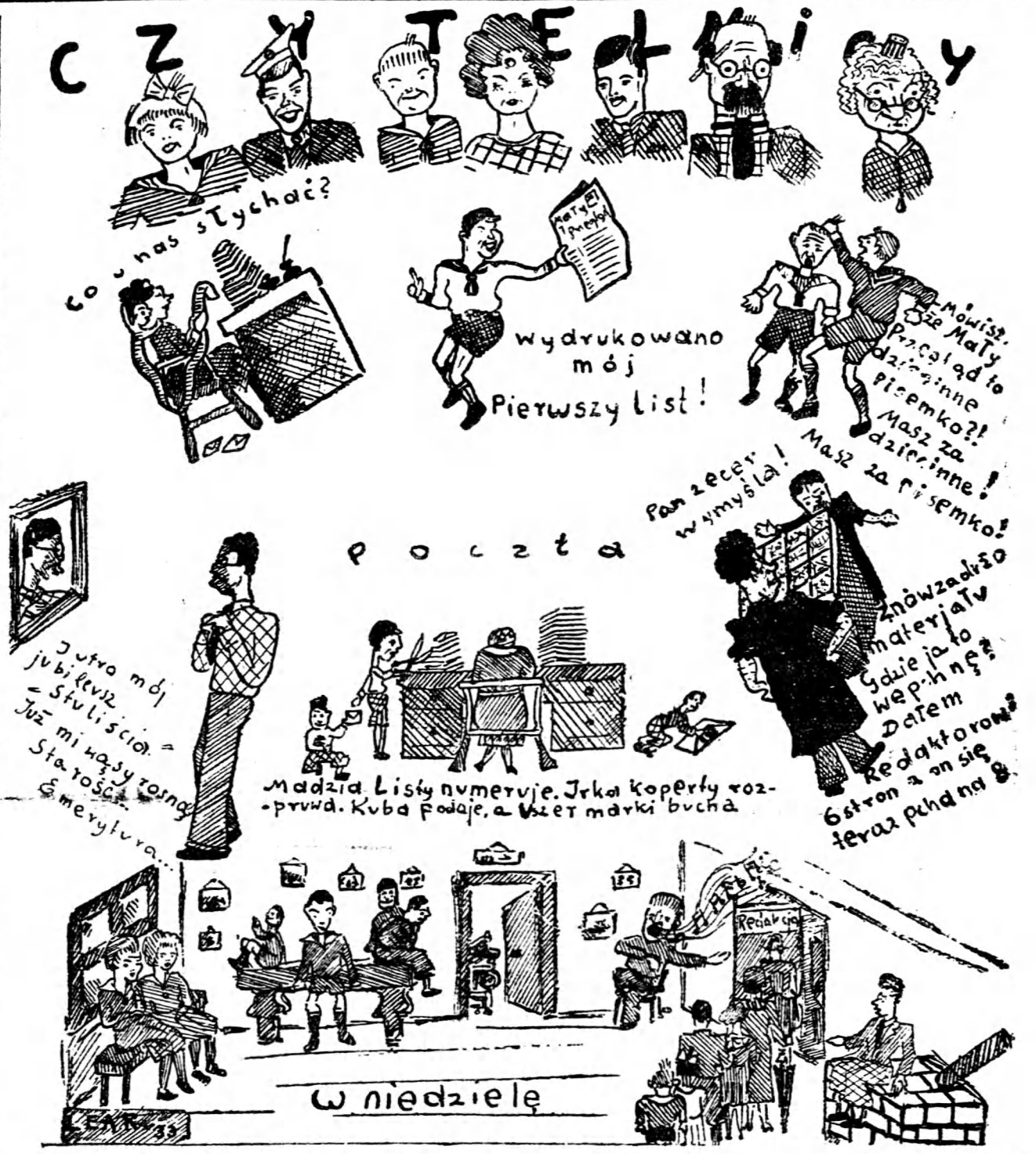

Niema krytyki--redaktor leniwy

Pismo jest wtedy organem młodzieży, kiedy ma w sobie coś młodzieńczego, naturalnego. Nie z tytułu, lecz z pracy, z artykułów powinno być pismem młodzieży

Wśród czytelników i współpracowników Małego Przeglądu sporo jest doktrynerów, którzy po przeczytaniu tytułu, napisanego ładnemi literami: „Pismo dzieci i młodzieży", uważają wszystkie artykuły za młode, choć bardzo często one na ten przymiotnik nie zasługują.

Weźmy jednak człowieka bez kropli doktryny. Taki krytyk zakwalifikowałby do druku w naszej gazecie tylko artykuły pełne werwy i młodości.

Spotkałem kolegę, współpracownika Małego Przeglądu.

— Założyłem gazetkę, klawa rzecz, — mówi.

— A jak tam z Małym Przeglądem? — zapytuję.

— Machnąłem już ręką. Wolę moją gazetkę na powielaczu. Wszyscy mi mówią, że dalej pójdzie jeszcze lepiej. Już mam niezbędne działy: życie szkolne, społeczne i dużo młodzieńczej krytyki.

Zapytałem, co właściwie zarzuca Małemu Przeglądowi. Odpowiedział, że obecnie czytuje go stale, lecz już nie pisze. Widzi, że ciągle ukazują się artykuły tych samych autorów, niekiedy nawet po dwa listy w jednym numerze, podczas gdy inne listy gniją w grubej tece redaktora.

— Więc co zarzucasz redaktorowi?

— Za mało poświęca pracy!

Lekko się oburzam.

— Nie znam go, jednak pracę jego widzę. Widzę z poczt, ile przychodzi listów. Wszystkie musi przeczytać, wybrać do druku, poprawić, ułożyć numer, a przyjęcia w redakcji?

— Nie o to mi chodzi. Redaktor pracuje sumiennie i dość inteligentnie, ale dlaczego nie odpowiada w „Wiadomościach bieżących" na listy nowych współpracowników? Pewnie, że to żmudna praca. Nie chce mu się pisać.

— A może wtedy trzeba byłoby pół numeru przeznaczyć na odpowiedzi? Na artykuły pozostałyby małe skrawki.

— Na to jest rada. Wiele jest prac niezdatnych, zwłaszcza nowych współpracowników. Skreśliwszy najpiękniejszym charakterem pisma debiutowy artykuł, (bez kleksów) wrzucają z otuchą listy w białej kopercie do skrzynki Małego Przeglądu. Z niecierpliwością oczekują piątku. W piątek okazuje się, że niema „Wiadomości bieżących". Napróżno szuka swego imienia, aż wkońcu rezygnuje z współpracy.

— Częściowo przyznaję ci rację, — odpowiedziałem. Redaktor powinien w następnym numerze odpowiadać na listy, powinien zapraszać do redakcji na rozmowę, uświadamiać poprawiać błędy. Bardzo możliwe, że wtedy wielu współpracowników nie rzuci pióra i wszyscy będą zadowoleni: oni, Mały Przegląd i czytelnicy.

Seweryn.

—::—

Pismo konwencjonalne

Bliscy i przyjaciele moi — to byli współpracownicy i czytelnicy „Małego Przeglądu". Dziś jednak odwrócili się odeń ze słowami wzgardy:

— Mały Przegląd to tchórzliwe i konwencjonalne pismo dla ludzi chodzących utartemi ścieżkami. Niema w niem żadnego buntu, — nic nowego i młodego. To pismo młodych staruszków.

Mówią tak ludzie młodzi — byli czytelnicy. Poniekąd mają rację. Ale to wina nie redakcji, tylko tych, których listy są tak stare.

Nie wierzę, nie chcę wierzyć w to, aby Mały Przegląd był pismem tchórzliwem i konwencjonalnem. Wszak niejeden bunt dojrzał na jego łamach, wszak samo jego powstanie było buntem przeciwko starym, przeciw niemożności wypowiedzenia się.

Wierzę w Mały Przegląd. Jakim jest i jakim być może — za to my odpowiadamy, to tylko od nas zależy. Niech nasze listy i artykuły będą świeże i młode, — a takim będzie Mały Przegląd.

Mały Przegląd leży w naszych rękach. Nie opuszczajmy ich, a będzie prawdziwem pismem myślących dzieci i myślącej młodzieży.

Henryk.

PIERWSZE LISTY

I.

Czytam już czwarty rok Mały Przegląd. Co piątek po przeczytaniu gazety myślałam: jak napisać artykuł?

Tak długo myślałam, aż postanowiłam wcale nie pisać, tylko czytać co piątek.

W ubiegłym roku w piątek, siedząc przy stole, usłyszałam głośne pukanie. Pobiegłam otworzyć. W drzwiach ukazała się zadyszana koleżanka.

— Tobciu,—krzyknęła. Przeczytałaś już w Małym Przeglądzie mój artykuł?

— Nie, — odrzekłam.

Prędko wyjęła z kieszeni gazetę i pokazała mi swój artykuł. Zazdrościłam jej. Po jej odejściu długo zastanawiałam się.

— Nie, — powiedziałam sobie, tak nie będzie. Ona ma pisać, a ja nie? Będę pisała.

W kilka tygodni potem stało się naszej klasie nieszczęście. Wychowawczyni zachorowała i wyjechała. Postanowiłam zwierzyć się czytelnikom. Po napisaniu pokazałam list matce. Matka powiedziała, że list jest dziecinny na mój wiek. Chciałam go podrzeć, lecz nie, — zastanowiłam się. Pokażę koleżankom.

Nazajutrz przeczytałam koleżankom list.

— Ach, jaki dobry, możesz go śmiało posłać.

Rada z tego, odrazu po szkole zaniosłam list. Po wrzuceniu pomyślałam: może pani przeczyta mój list, niech przynajmniej wie, jak lubiłyśmy ją.

Któregoś dnia siostra odezwała się do mnie:

— Wiesz, chcę napisać artykuł do Małego Przeglądu, ale o czem?

— Napisz o niespodziance, jaką ci zrobiła mamusia — o zegarku.

— Dobrze — mówi siostra — napiszę, jak mi radzisz.

— Ale co ja napiszę — myślę. Wiem już: o wypadku, jaki miałam na ulicy Kupieckiej.

Piszemy. Po napisaniu oddajemy matce do przeczytania.

— Jak ty się nie wstydzisz posyłać takie dziecinne listy — odzywa się do mnie matka.

Nic nie odpowiedziałam. Siostra wzięła listy i zaniosła je. Wstyd mi było przed matką, że piszę tak dziecinne listy.

Po pewnym czasie posłałam inny list. Nie dałam już matce do przeczytania, gdyż wiedziałam, że usłyszę: „za dziecinny".

Pewnego wieczoru, leżąc na kozetce, pomyślałam sobie:

— Teraz piszę dziecinne listy, ale potem będę pisała, jak Aneri i Stefa. Będę się starała pisać poważniejsze artykuły. Już chyba nie usłyszę od matki: „dziecinny".

Tobcia z Muranowskiej.

II.

Naprzeciwko nas mieszkała moja kuzynka. U niej to poraz pierwszy zapoznałam się z Małym Przeglądem. Byłam wtedy jeszcze mała i chodziłam do freblówki, ale Mały Przegląd był również mały, i nie taki, jak dziś. Nauczycielka z freblówki co piątek przynosiła nam gazetkę, mówiła, że te wszystkie artykuły, które nam czyta, napisane są przez dzieci. Dziwiliśmy się: dzieci?

— Czy jabym także mogła napisać? — spytałam raz.

— Możesz, — odpowiedziała nauczycielka.

Więc napisałam krótki list o tem, że chodzę do freblówki, że umiem już czytać i pisać, no, i że nazywam się Ala. List ten widocznie nie spodobał się redakcji, bo go nie wydrukowała. Obraziłam się i przez dwa tygodnie nie czytałam Małego Przeglądu. Potem znów zaczęłam czytać, ale pisać już nie chciałam.

Później znowu sprobowałam. Napisałam o złej ciotce. Został wydrukowany, ale w dziale „Co u nas słychać" (wtedy zdaje się, ten dział inaczej się nazywał). Uważałam, że jestem za duża na ten dział, dałam sobie słowo, że więcej pisać nie będę.

Minęło kilka lat. Przez ten czas czytałam stale Mały Przegląd, ale nie pisałam. Chodziłam już do szkoły. Pewnego dnia w klasie zrobiono odkrycie, że mam dobry styl. Koleżanki zaczęły mnie namawiać, żebym napisała artykuł. Napisałam. Został wydrukowany. Początek najtrudniejszy, potem szło łatwiej, ale zawsze nie tak, jakbym chciała.

Po kilku artykułach zostałam wezwana do redakcji i dowiedziałam się, że coprawda drukują moje listy, ale... ale są trochę głupie. Z dalszej rozmowy wynikało, że powinnam się starać, bo jak nie, to wszystkie artykuły znajdą się w koszu.

Po tej rozmowie posłałam wszystkie koleżanki do djabła i postanowiłam już więcej nie pisać. Potem rozmyśliłam się: lepiej pisać, może kiedyś nabiorę większej wprawy i będę pisała ładnie.

Chciałabym, by redakcja mi powiedziała, czy się już trochę poprawiłam (owszem, — dopisek redakcji) bo trzeba rzeczywiście dużo cierpliwości, by po przełknięciu takiej pigułki dalej jeszcze pisać. Nie przychodzi to łatwo.

Proponuję, by Mały Przegląd postarał się drukować pierwszy list nowego współpracownika, choćby nawet nie był udany.

Zawsze to doda otuchy i zachęci do dalszej pracy.

Ala z Zamenhofa.

Tylko wierszy niema

Numer 313 Małego Przeglądu był dla mnie ciekawszy i bardziej interesujący od poprzednich. W każdym numerze Małego Przeglądu oczekuję niespodzianki i czegoś nowego, a w tym numerze właśnie znalazłem wiele takich niespodzianek. W dopiskach redakcji znalazłem trafny sąd i odpowiedzi na pytania, które chciałem zadać Małemu Przeglądowi. Wyręczyli mnie inni czytelnicy.

Zauważyłem, że Mały Przegląd nie pomija i nie zapomina o żadnym korespondencie (mówię o dobrych). Kto raz napisze, ale dobrze, o tym nawet po długim czasie wspomni Mały Przegląd. Chociaż wielu czytelników użala się na Mały Przegląd, że nie drukuje wszystkich artykułów, lub że nie wszystkie sądzi sprawiedliwie, uważam, że tak nie jest. Zresztą nie będę bronił Małego Przeglądu, bo myślę, że da sobie sam radę.

Nieraz dyskutowałem z kolegami, lub sam myślałem o Małym Przeglądzie. Zawsze brałem Mały Przegląd za pismo niepoważne Chociaż czytałem i to od deski do deski, jednak nie widziałem lub starałem się nie widzieć dodatnich cech Małego Przeglądu.

Postanowiłem, że już nigdy więcej nie napiszę. Jednak czytając zauważyłem, że mi się coraz więcej podoba. Mały Przegląd z każdym tygodniem postępuje naprzód. Czytelnicy zżywają się z nim, coraz więcej ukazuje się artykułów o treści poważniejszej, żywo nas interesującej, lub treści literackiej; ukazały się feljetony i t. p.

Tylko wierszy jeszcze niema. Wiele czytelników chciałoby, a między nimi i ja, by w Małym Przeglądzie ukazywały się wiersze. Więc proponuję, by co pewien czas ukazywał się numer, w którym byłby dział wierszy.

Ciekaw jestem, dlaczego Mały Przegląd nie drukuje wierszy, i prosiłbym redakcję o wyjaśnienie.

M. Ener.

Wyjaśnienie:

Owszem, zrzadka, dla urozmaicenia, jak rysunek, ukazują się i wiersze, ale nieszkodliwe, t. zn. oryginalne, nieściągnięte, kiedy poeta, prócz rymu, ma jeszcze coś do powiedzenia, a to się rzadko zdarza.

Wszystkie listy i artykuły Mały Przegląd ocenia, przynajmniej stara się ocenić sprawiedliwie, natomiast nie wszystkie drukuje. Gdyby zamieszczał wszystkie, pod nagłówkiem gazety byłby napis: „materjał kierować należy do drukarni"; zecer składałby, powiedzmy, co tydzień 35 listów i Mały Przegląd miałby 35 czytelników.

Lubię — nie lubię

Okresu, w którym zaczęłam czytać Mały Przegląd, nie przypominam sobie, wiem tylko, że było to dawno. Wtedy nie czytałam go jeszcze systematycznie, bo nie rozumiałam niektórych działów. Listy krótkie wydawały mi się głupie. Wogóle wyszydzanie Małego Przeglądu uważałam za rzecz, należącą do dobrego tonu.

Dopiero kilka lat temu zaczęłam czytać działy, zestawiać listy i porównywać. Już po krótkim czasie przestałam szydzić, — zaczęłam się dziwić.

Po ukazaniu się w Małym Przeglądzie artykułu Benjamina p. t. „W nieznany świat", posypał się grad szyderstw z ust kuzynów i kuzynek na Benjamina, że się zadaje z „pisemkiem" dzieciaków, jak pogardliwie nazwali oni Mały Przegląd. Stanęłam w obronie pisma i współpracowników, chociaż nie wszystkich lubiłam.

Rozpoznawałam już współpracowników stałych od dorywczych, i o każdym miałam swoje zdanie.

Z przyjemnością obserwowałam, mówiąc słowami, Kaaa, stopniowy zanik „Alusiów". Każdy numer Małego Przeglądu był przeze mnie przewertowany, a następnie podlegał dokładnej analizie. Był on przedmiotem dyskusyj moich koleżanek w ciągu całego tygodnia.

W krytykach bynajmniej nie byłyśmy łagodne. Miałyśmy swoich ulubieńców, jak i współpracowników nielubianych. Do moich najulubieńszych zalicza się Ludwik. Mam wrażenie, że jest inteligentny, miły, i energiczny. Wprawdzie szydził i kpił z dziewcząt, jednak nie uważam go wcale za ich przeciwnika.

Lubię Norrisa za jego dowcip. Edwin ze swoim zapałem turystycznym nudzi mnie trochę. Lubiłam Mendla i autora „Uśmiechu rudej Blumy", ale „Wykolejeńcy" wprawiały mnie raczej w przykry nastrój. Nie sympatyzuję z Lezionem od czasu jego powiedzenia, że całą klasę uważa za smarkaczy. Bardzo lubię czytać reportaże Efraima, które, mimo, że zdradzają krańcowego kinomana, są bardzo ciekawe. Niedawno widziałam pod artykułem połączenie imienia Efraima z Aneri, co mnie wprawiło w złość, gdyż jestem zdecydowaną przeciwniczką Aneri. Styl jej artykułów wydaje mi się napuszony i sztuczny, a ona sama pełna pozy. Jedynie jej „Wagary" wydały mi się milsze

Mam nadzieję, że zechcecie podzielić się ze mną swojemi spostrzeżeniami i napiszecie na ten sam temat.

Franka z Przyokopowej.

Pocztówki pamiątkowe

Na pamiątkę pożytecznej współpracy w r. 1932-33 — 260 korespondentom przyznano pocztówki.

— Napisałem dopiero 12 listów i już dostałem pocztówkę. — dziwi się Stasiek.

— Cztery miesiące nie pisałem. Czy mi się należy pocztówka? — zapytuje Niewiadomski.

Niejeden chciałby wiedzieć, komu, za co i w jakim celu wydaje się pocztówkę.

Wyjaśnia to napis na pocztówce: „otrzymał w upominku"... (imię i nazwisko). Korespondent, po otrzymaniu pocztówki, wie, że redakcja o nim pamięta i ceni jego współpracę.

Wydaje się pocztówkę za listy, zakwalifikowane do druku, chociażby nawet nie były jeszcze wydrukowane. Za ile listów? — Różnie bywa. Za jeden, za sześć i za dziesięć, — zależy od tego, jakie to są listy lub artykuły.

Najmłodszy „pocztówkowiec" ma lat 5, najstarszy 55. Są to Miecio z Miłej i Dr. Janusz Korczak. Miecio otrzymał pocztówkę za 18 listów, dyktowanych siostrze, — dr. Janusz Korczak za 1 „list" bardzo długi p. t. „Kajtuś Czarodziej". W ten sposób mamy także jednego współpracownika dorosłego. W tym roku, poraz pierwszy również, do grona zasłużonych współpracowników wszedł uczeń - polak: Tadeusz B—ski.

Po doręczeniu pocztówek przychodzi do redakcji pocztylion z torbą, wypchaną radością i łzami. Jedni cieszą się i dziękują, drudzy żalą się na niesprawiedliwość, wytykając palcami „wyjątków": dlaczego on dostał, a ja nie?

Czas już skończyć z legendą o wyjątkach. Wszyscy mają równe prawa i możliwości, lecz nie wszyscy są jednakowo rozsądni, zdolni i wytrwali. Gdybyśmy rozumieli równość tak, że należy drukować wszystkie listy, nawet głupie i złośliwe, byłby śmietnik, omijany przez wszystkich. Kto pisze dobrze i często, ten oczywiście częściej znajduje swe listy lub prace w Małym Przeglądzie.

W tym roku w Warszawie pierwsze miejsce zdobyła ul. Muranowska: 13 pocztówek (w zeszłym roku Nalewki — 11 pocztówek). Białystok i tym razem nie dał się wyprzedzić, zdobywając największą ilość pocztówek w porównaniu z innemi miastami, bo 14.

Pocztówki nie doręczone z powodu niedokładności lub zmiany adresu:

Warszawa — Sz. Altenberg, H. Aszkinazy, A. Babic, A. Bejlin, F. Choimowicz, R. Chojna, S. Dobraszklanka, J. Dornówna, C. Fuksówna, A. Jęczmień, B. Hochglik, H. Horowicz, I. Mitman, Cz. Rakowska, M. Szwalbe, R. Tołczyńska, Zb. Walfisz, R. Wermus, T. Zajdman.

Prowincja: Bajtnerówna Mila, Hirszberg Renia z Włocławka, Mocnówna Lusia z Żuromina, Tchórzewska Stella z Włocławka, Mania z Pińska („Wspólny Dzienniczek"), Raja z Suwałk („Legja kobieca"), Mala i Lusia z Bydgoszczy, Symcha z Zamościa i Dosia z Łodzi.

Zagranica: Charles Kurcbard z Paryża i Monacsy Józef z Budapesztu.

Wyżej wymienieni korespondenci z Warszawy mogą odebrać pocztówki w redakcji w niedziele od g. 4-ej do 5-ej, — pocztówkowców z prowincji prosimy o dokładny adres.

O czem pisać?

Napisałem już 12 listów. Niektóre, po przepisaniu, poprawiałem i namyślałem się, czy są wartościowe, czy będą wydrukowane.

Widzę, że moje listy są pisane stylem wypracowań, jak gdyby ktoś dał mi temat, a ja go rozwijam.

Rozumiem, że listy powinno się pisać wtedy tylko, kiedy się czuje ciężar na sercu i potrzebę wypowiedzenia się, kiedy się ma ciekawe wrażenia.

Moje listy nie są takie, jakie być powinny. Jakieś inne, — nie umiem określić. Porównuję artykuły, wydrukowane w Małym Przeglądzie, z mojemi i widzę różnicę. Staram się, jak mogę, aby moje artykuły były na poziomie, ale nie widzę poprawy.

To jest jedna z mniejszych wad mojego pisania. Z tej wady zdaje się z czasem mogę się wyleczyć.

Ale mam gorszą wadę. Jako początkujący korespondent, miałem dużo tematów, które są już na wyczerpaniu. Bardzo chcę pisać, ale nie wiem, o czem.

Mam kolegę, który jest mojem przeciwieństwem: ma dużo tematów, ale nie lubi pisać.

Skutek będzie taki, że będę zmuszony pisać do Małego Przeglądu rzadko, naprzykład raz na miesiąc, co mi się wcale nie uśmiecha. Nie mam pojęcia, co mam robić, jaką radę znaleźć. Znajduję się w przykrej sytuacji i proszę redakcję o wskazówki.

Myślę, że nie trzeba szukać tematów, należy pisać tylko wtedy, kiedy się ma naprawdę ważne wiadomości lub zwierzenia. Z drugiej strony, ciągle chce mi się pisać. Więc nie widzę wyjścia.

Mogę opowiedzieć o kolonji, ale teraz ten temat nie jest aktualny.

Czasem myślę, że jestem niedołęga, gdyż tematów aktualnych jest tysiące, tylko ja nie umiem znaleźć.

Stasiek.

ODPOWIEDŹ: Słusznie zauważyłeś, że pisać należy o tem, co w sercu lub głowie dojrzewa. Styl wypracowań (wypocin) zawsze zjawia się wtedy, gdy temat jest narzucony. Dlatego redakcja nie podaje listy „tysiąca tematów aktualnych", niekiedy tylko zawiadamia, że wkrótce zamieści ten czy ów dział stały, żeby mniej było spóźnionych. — Ludwik i Emkot, potem Renia i Stefa tworzyli spółki autorskie, bo się nawzajem uzupełniali. Możebyś spróbował pisać z kolegą, który ma tyle dobrych pomysłów.

Janusz Korczak

powieść Małego Przeglądu
przedruk wzbroniony

Kajtuś Czarodziej

Rozdział ósmy

Awantury, jakich świat nie widział—Poplątali się: ludzie, zegary, szyldy, psy, koty.—Na placu i na moście.— Sobowtór Kajtusia.

Mama zapłakana a ojciec się gniewa:

— Gdzie byłeś tyle godzin?

— Taka ładna pogoda, — mówi Kajtuś

— Pogoda ładna, więc zaraz po chorobie na pół dnia uciekasz? — Myśleliśmy, że znów cię coś opętało. — Obiecałeś, że wrócisz z cmentarza. — Szukałem cię tam. — Jak ty się nie wstydzisz?

Spuścił Kajtuś głowę, już się nie tłomaczy. — Wstydzi się: nie dotrzymał słowa.

Ojciec jeszcze coś mówi, ale Kajtuś nawet nie słucha.

Tak zawsze bywa, że gdy dorośli bardzo się gniewają, dziecko w przestrachu już nie rozumie, co i dlaczego krzyczą. — Już tylko hałas w uszach i w głowie. — Tylko czeka, jaki będzie koniec' i czy uderzą, czy nie.

— Dziś zostaniesz w domu, a jutro do szkoły. — Dosyć tego hultajstwa.— Jesteś zdrów więc się ucz. — Zrozumiałeś?

Nie pożegnał się z ojcem i wyszedł. — Kajtuś został z mamą.

Mama zaczęła go pocieszać. Taka dobra.

— No trudno: stało się. Już więcej tego nie zrobisz. — Nawet nie twoja wina. — Nie powinnam była pozwolić, żebyś sam chodził na cmentarz. — Mamy ciebie jednego, więc się obawiamy, żeby ci się co złego nie stało. — Nie bój się: nie oddamy cię do zakładu poprawczego. — Ojciec tak tylko mówił.

Uspokoił się Kajtuś.

— Podobno awantury w mieście? Tam pewnie chodziłeś? — pyta się mama.

Kajtuś przeczytał głośno dodatek nadzwyczajny.

— Tak, tak. Pewnie znów będzie wojna. — Nie dadzą ludziom spokoju. — I pradziadek twój, i dziadek, i ojciec..

Zaraz Kajtuś prosi, żeby mama opowiedziała: jak w drewutni ukrywali się powstańcy, a pod drzewem leżały książki i papiery.

Co to były za książki, dlaczego nie było wolno? — Dlaczego za książki wysyłali do zimnego kraju?

— Może chociaż jedna książka została?

Dawno już Kajtuś myślał, że w książkach tajemniczych były przepisy, jak zwyciężać wrogów.

Opowiada mama o wojnach, które były, a Kajtuś myśli o tej, która będzie. Nawet chce, żeby wojna wybuchła. Bo dopiero wtedy będą się mogły przydać — jego moc i wola.

Potem ojciem wrócił, mówi, o czem piszą gazety, co słyszał od ludzi.

—Zanosi się na coś niedobrego.

Długo nie może zasnąć. Bo co zaśnie, zaraz huk armat, warkot aeroplanów, bomby i granaty.

Zaraz czary Kajtusia wygrywają bitwy.

— No dobrze. — Ma Polska Kajtusia. — Ale i wróg może mieć także czarnoksiężników, — może starszych i ostrożniejszych? — Popełni Kajtuś jakiś błąd, albo w ważnej chwili zawiedzie tajemnicza siła, i wróg wygra wojnę?

Rozważa Kajtuś, jakie wyczarować nieznane armaty, jakie zbudować fortece, jakie wydawać rozkazy, w jakie przybrać wojsko pancerze, hełmy i maski.

— Może pułk wielkoludów, może ułani z żelaza na stalowych koniach?

Ojciec poruszył się w łóżku.

— Tatu!

— Co?

— Co mocniejsze: żelazo czy stal?

— Śpij!

Mruknął ojciec coś jeszcze. Gniewa się. Zasnął Kajtuś. Obudził się. — Myśli:

— Jutro idę do szkoły. — Będą się pytali, dlaczego uciekł z domu, co robił w szpitalu; zaczną nudzić, żeby opowiadał. Chyba trzeba wyjść późno, żeby przed samym dzwonkiem wejść do klasy?

A może znów na miesiąc odroczyć władzę?

Nie, jużby się nie mógł obejść bez siły, która coprawda nie przyniosła pożytku, ale od niego przecież wszystko zależy. — Niekoniecznie trzeba głupstwa robić. — Musi ułożyć jakiś plan działania.

— Plan strategiczny.

Niebardzo rozumie, co to znaczy, ale czuje, że tak być właśnie powinno: żeby był porządek, żeby czary miały jakiś plan, żeby nie martwić rodziców.

Aż znalazł sposób, żeby mógł wychodzić z domu, kiedy chce i na jak długo trzeba, a żeby ojciec i mama byli zupełnie spokojni.

Dobrze będzie, jeśli się uda.

— Wyczaruję sobowtóra. Wywołam marę zupełnie podobną. — Będzie dwuch Kajtusiów: jeden będzie — widziadło, ten sobowtór, ta mara; a drugi — naprawdę ja. — Będzie dobrze. — Powoli wypróbuję i nauczę: poślę sobowtóra do szkoły, albo zostawię w domu. Będę mógł nawet wyjechać w obce kraje — na długo. — Będę podróżował; pojadę okrętem, będę polował na dzikie zwierzęta.

Myśli Kajtuś i widzi: co czytał i co widział w kinie. Mieszają się i gonią myśli i obrazy. — Jedne obrazy wyraźne, inne jakby za mgłą, jedne blizko, drugie daleko.

I już chce zasnąć.

Poduszka go grzeje. Kołdrę tak probuje ułożyć, to inaczej. Rękę pod głowę założy — to tak, to inaczej. Kładzie się nawznak, na boku.

Chce zasnąć.

— Wstawaj. Czas do szkoły.

— Mhm.

— Prędzej. Bo się spóźnisz.

Wstał. — Ułożył książki i zeszyty.

Pożegnał się. — Wyszedł.

Za parkanem składu desek wywołał sobowtóra. Przykro mu się zrobiło, —dziwnie jakoś. — Taki sam, jakby w lustro patrzał.

Idą obok siebie. Milczą. — Zatrzymali się przed sklepem. — Jakaś pani idzie z panem. Też stanęła, — spojrzała.

— Patrz, jacy podobni. — Czy wy chłopcy bliźnięta?

— A co pani do tego? — mruknął Kajtuś

— Niegrzeczny jesteś, — mówi pan.

Niech będzie. — Czego się wtrąca, poco zaczepia.

Dorosłym się zdaje, że mają prawo zaczepiać, robić głośne uwagi i zadawać byle jakie pytania, bo to mały, bo dziecko.

Mówią:

— Jakie ten mały ma ładne oczy. — Ile masz lat? — Nieładnie gwizdać na ulicy.

Kajtuś udawał zawsze, że nie słyszy, albo język pokaże i ucieknie.

Ale tym razem dobrze się stało, bo zrozumiał, że nie powinien iść razem z sobowtórem. — Bo co powie, jeśli spotka znajomych?

— Zgiń maro.

Rozwiało się widziadło, jak mgła. — Kajtuś odetchnął z ulgą, bo nie wiedział, o czem mówić z tym swoim bliźniakiem.

Spotkał kolegę, który zbiera marki. Już ma trzydzieści dwa państwa; zna sklep, gdzie można wymienić podwójne marki na inne; lepiej zamieniać w sklepie, niż z chłopakami, bo chłopcy oszukują, i tam większy wybór. — Są marki po sto złotych i więcej.

Zagadał się Kajtuś i zapomniał, że ma później wejść do klasy.

Ale nawet uwagi nie zwrócili: mówią o awanturach na mieście.

Na korytarzu pani do niego się uśmiechnęła, też nic nie powiedziała. — Dopiero na pierwszej lekcji pan zaczął żarty stroić.

— Aaa, jesteś już, Robinzonie Kruzoe? — Kiedy znów będziesz z domu uciekał? — Ojciec wyłoił ci skórę?

Kajtuś stoi w ławce; nawet mu się nie wolno odezwać, gdy koledzy się śmieją.

Dorośli często jakby umyślnie drażnią się z dziećmi. Nieprzyjemnie, jeśli się kogo niebardzo lubi, a on zacznie żartować i wyśmiewać.

— No, Robinzonie, chodź do tablicy. Zobaczymy, czego się nauczyłeś na bezludnej wyspie.

Kajtuś chętnie wychodzi z ławki. Postanawia nic nie mówić choćby nawet umiał. Niech się pan rozzłości, kiedy taki wesół.

I wogóle, poco przyszedł Kajtuś do szkoły? — Mógł przysłać sobowtóra, a sam iść na wagary.

— No pisz, — kazał nauczyciel.

Kajtuś niechętnie bierze kredę do ręki.

Pan dyktuje zadanie, może nawet łatwe, ale Kajtuś nie chce.

— Powtórz.

Powtarza, źle.. Na złość.

— Źle. — Podróżować umiesz, a głupiego zadania powtórzyć nie potrafisz?

No właśnie: Dlatego, że głupi i wcale go nie obchodzi.

Kajtuś jest czarodziejem i męczyć się nie pozwoli. Nie będzie siedział w szkole.

Położył kredę, polizał palce, spojrzał drwiąco na tablicę; pomyślał swym tajnym sposobem:

— Mocą swoją i wolą i rozkazem żądam, żeby była już godzina dwunasta.

A było dopiero piętnaście minut po ósmej.

Żaden czar Kajtusia nie wywołał jeszcze takiego zamieszania w całej Warszawie.

Co kto spojrzał na zegar, oczom swoim nie wierzy. — Każdy naprzód robi w domu awanturę, że ktoś przesunął wskazówki zegara, potem biegnie do sąsiada, żebysprawdzić. Telefonują na prawo i na lewo, bo chcą wiedzieć, co się stało, która naprawdę godzina.

Urzędnicy bez śniadania biegną do biur, a kupcy do sklepów.

W tramwajach tłok. Konduktorzy rady dać nie mogą. Kto się nie docisnął, biorą wspólnie taksówki. Wszyscy spóźnieni: myśleli, że wcześnie, a tu już południe.

Wysypali się ze szkół uczniowie.

— Skaranie boskie z temi dzieciakami; plączą się, jak człowiek się spieszy.

— A to niespodzianka, — cieszą się młodzi. — Kto tak dobrze wymyślił?

— Zagraniczni goście, — mówi Kajtuś rozweselony. — Chodźmy im podziękować.

Wstąpił do bramy, wywołał sobowtóra i posłał do domu. — Sam przyłączył się do pochodu sztubaków i — hajda na miasto.

Aż musieli zatrzymać tramwaje, — taka gromada ze wszystkich szkół się zebrała.

Gazety potem pisały, że młodzież szkolna urządziła przed hotelem gości burzliwą manifestację. Inne gazety, że — żywiołową i

— Spontaniczną!

Przyznać trzeba, że krzyk był.

— Niech żyją! — Vivant! — Dziękujemy!

Oni wyszli na balkon i kłaniają się i też dziękują.

A potem, każdy w swoją stronę: do domu albo na spacer.

Poszedł Kajtuś na Plac Teatralny. — Zaczepił go inwalida w niebieskich okularach.

— Przeprowadź kawalerze, na drugą stronę ulicy, bo słabo widzę.

Wziął go Kajtuś za rękę, ostrożnie przeprowadził. A on:

— Masz, weź czekoladkę.

Czekoladka akurat taka, jakie były w torebkach pod poduszką. — I smak taki sam.

Zjadł. Rozgląda się. — Zegar ratuszowy bije pierwszą godzinę, a dopiero otwierają sklepy. — Przypomniał sobie odczyt profesora Gwizdała.— Nagle myśl:

— Pozmieniam napisy na szyldach sklepów.

Stuka palcem w powietrze i mówi:

— Ten sklep niech będzie: Dyndalski.

— Ten — Fidrygalski i spółka. — Dalej: Fajtłapski i synowie. — Kundel i Cwajnos. — Ferdek Śmierdek. — Bezportek. — Kukurykiewicz.

Odrazu na wszystkich sklepach, zamiast nazwisk znanych poważanych, ukazują się śmieszne napisy.

Ale Kajtusiowi mało tego. — Pozamieniał sklepy. — Będzie większy bałagan.

Na rogu Placu zamienił bank w owocarnię. — Zamiast pieniędzy, leżą w oknie gruszki, jabłka i śliwki. Na biurkach bankowych — orzechy, banany i winogrona.

Niedaleko banku znana apteka.

— Niech tam będą ptaki, małpki i złote rybki.

Już zaraz w butelkach i słojach aptecznych rozlega się śpiew kanarków. — Gdzie było lekarstwo na kaszel, chodzą niezgrabne żółwie; gdzie maść na rany i odciski, tam kolibry. A w zamkniętej na klucz szafce z truciznami, siedzi małpka i miny stroi.

Naprzeciwko apteki jest stara firma, skład przedmiotów żelaznych. W oknach były noże, widelce, narzędzia stolarskie, ogrodnicze, łodownie, kosy, wagi, maszyny do pisania, brzytwy do golenia. — Ten skład zamienił Kajtuś na cukiernię. A w oknach umieścił napisy:

— Reklama. — Każdy uczeń dostaje jedno ciastko za darmo.

Już wali do sklepu łobuzerja:

— Proszę o ciastko tortowe. Mnie z kremem. Mnie z konfiturami.

Subjekci nie wiedzą, co robić. Pytają się, a właściciel mówi:

— Tymczasem trzeba sprzedawać.

— Kiedy w oknach stoi, że darmo.

— A no trudno: trzeba dawać, jeżeli napisane. — Musi się przecież wyjaśnić, co to wszystko znaczy.

Kapelusz na oczy ze wstydu nasunął, kołnierz palta postawił, — idzie zobaczyć, co się z innymi dzieje.

Przed bankiem stoi tłum ludzi.

— Oddajcie pieniądze. Nie damy się oszukać. Nie robić żartów.

Dyrektor banku prosi i tłomaczy:

— Uspokójcie się państwo. Zaraz otworzymy kasę ogniotrwałą i skarbiec. Kasjera jeszcze niema. Wiecie, że poplątały się zegary.

— Więc posłać po kasjera. Jak długo będziemy tu stali?

— Żeby się nie nudziło, każę tymczasem wydać owoce, czem chata bogata, tem rada. Zaraz na tacach będzie się dawało.

Każe gońcowi skoczyć prędko po tace do sklepu z przeciwka.

— Tam już niema tac; teraz tam cukiernia Dyndalskiego.

— No, sami państwo widzicie. — Może śliweczki węgierskie?

— Chcemy pomarańcze!

— Doskonale. No, ruszajcie się, panowie urzędnicy. Klijentela czeka.

Urzędnicy się buntują.

— Nie jesteśmy młodemi panienkami, żeby handlować owocami.

Przyszedł kasjer. Otworzył. A w kasie same figi.

Krzyk, groźby — awantura.

Nie lepiej u jubilera.

— Przepraszam, czy jest właściciel?

— Ja jestem. Właśnie.

— Pan Bezportek?

— Co takiego? — Ja pana nauczę błaznować.

— Nie jestem błaznem: jestem agentem firmy ogrodniczej. — Proszę przeczytać, co głosi napis na szyldzie.

Jubiler, człowiek dobrze wychowany, wyszedł przed sklep, przeczytał i zaklął tak brzydko, że w książce dla młodzieży nie mogę napisać, by nie dawać złego przykładu.

(Dokończenie na str. następnej).

Napis głosił:
Bezportek i Spółka
Skład tulipanów, marcypanów
Róże małe i duże
Bratki w kratki
Bim - bum. Hop - hop.

A tu zaraz wchodzi pani baronowa.

— Co się dzieje u pana? — Zostawiłam u pana moje kosztowne perły. Oddaj pan.

—Pani baronowo, już mam tylko kwiaty.

Baronowa upadła, zemdlała. Biedny jubiler biegnie do apteki.

— Panie aptekarzu, proszę o krople na nerwy.

— Niema.

— Pani baronowa zachorowała.

— Mnie to nic nie obchodzi.

— Ja policję sprowadzę, że pan ludzi nie chce ratować.

Kłócą się. Bo tak już jest, że ludzie zmartwieni, zamiast sobie pomagać, zaczynają ujadać.

Więc kłócą się; a na pustym słoju od rycyny kołysze się papuga i woła:

— Głupi, głupi!

A ze słoika na porost włosów skacze na spoconą głowę aptekarza żabka zielona.

Zdawałoby się, że Kajtuś dość narobił bigosu. Ale nie. — Zobaczył, że pies goni kota.

— Niech się na Placu tym odbędzie walka psów i kotów z całego miasta.

Tego tylko brakowało.

Pędzą koty z ulicy Wierzbowej, a psy z Senatorskiej. Dawaj gryść się i drapać. Szczekanie, pisk, miauczenie, fukanie, skomlenie.

Ludzie uciekają, inni się znów gapią.

— Fifi, Azor, Żolak, Trezor! Do nogi!

A Kajtuś:

— Psy niech będą niebieskie, a koty czerwone.

I tak się stało.

Urzędnicy magistratu stoją w oknach i patrzą.

— Niech straż ogniowa rozgoni je wodą.

Strażacy zakładają gumowe rury na hydranty.

— Żądam wolą moją i mocą, aby małpy zielone zrobiły porządek.

Już małpy, jak nie skoczą w sam środek — i porozpędzały.

Koty uciekają w ulicą Bielańską, a psy w Senatorską.

Przyjechali autami goście zagraniczni, patrzą przez lornetki.

— Wesołe miasto. — mówi bogacz, zwany królem okrętów i kolei.

I zwraca się do swego sekretarza:

— Trzeba opisać wszystko w naszych gazetach. Napewno przyjadą tu bogaci ludzie, którzy się nudzą, — żeby zobaczyć tyle ciekawych rzeczy.

Kajtuś doprowadził do porządku sklepy i zegary i ruszył w stronę mostu. — Schodzi przez Plac Zamkowy i Zjazd nad rzekę.

Dawniej chętnie patrzał, jak statki płyną, a piaskarze na płaskich czółnach dobywają żwir kubełkami na długich kijach.

Dziś statki wydają mu się małe i brudne, a marynarze wiślani — nieciekawi.

— Żądam, rozkazuję: niech tu będzie morze prawdziwe i wielkie okręty.

I teraz dostał Kajtuś, na co zasłużył.

Niewidzialna ręka chwyciła go za kark, niewidzialna noga dała mu potężnego kopniaka.

Gdyby Kajtuś nie był zaślepiony swą władzą, musiałby przyznać, że zasłużył na taką karę.

Chciał, żeby było morze. Ani pomyślał, że morze zaleje miasta i wsie, że będzie większa katastrofa, niż największa powódź i trzęsienie ziemi. Mógł pół Polski pogrążyć w odmęty.

Zamiast być wdzięczny, że się nie stało, jak powiedział, i wyrok przyjąć pokornie, Kajtuś obraził się i utkwił zły wzrok w most Poniatowskiego.

— Niech most sztorcem stanie!

Jakby nie most, a Kajtuś zawinił.

Spełnił się czar. Most zaczął się unosić, a całe szczęście, że powoli, boby się wszyscy potopili i pozabijali. — Ani jeden koń ani jeden człowiek nie zostałby żywy.

Bo zaraz ludzie przewracają się i toczą, a samochody zjeżdżają na dół. — Nie było zabitych, ale wielu pokaleczonych i pokrwawionych.

— Dosyć!

No tak, ale za późno.

Jadą karetki pogotowia na pomoc. A Kajtuś stoi, jak nieprzytomny.

— Dosyć! — Do domu czemprędzej, żeby nowych głupstw nie narobić.

Biegnie.

Otworzył drzwi mieszkania i cofnął się przestraszony: spotkał się oko w oko z swoim sobowtórem. — Dobrze, że mama siedzi akurat tyłem do ściany, więc go nie widziała.

Zatrzasnął drzwi.

— Kto to? — pyta się mama.

— Zaraz przyjdę, mamo, — słyszy swój głos w pokoju.

Sobowtór wychodzi do sieni i czeka posłusznie.

— Zczeźnij, maro.

Znikł. Kajtuś wchodzi, a mama się pyta:

— Do kogo wychodziłeś?

— Nic. Chłopiec mnie wołał.

— Czego jesteś taki czerwony?

— Nic. Głowa mnie boli.

— Połóż się. Napij się herbaty z cytryną.

Położy się. Tak będzie najlepiej.

Zmęczony się czuje. Niezadowolony. Smutny.

I strasznie samotny.

I niepotrzebny jakiś na świecie.

(Dalszy ciąg w numerze następnym).

Od tego dnia minęło siedem lat

Mały chłopczyk chederowiec, wchodził do bramy pewnego domu na Nalewkach. Niczem się nie wyróżniał wśród swoich rówieśników. Bawił się tak samo, jak oni, czuł tylko wstręt do zabaw, w których decydują muskuły.

W bramie kolega z chederu złapał go za rękę.

— Patrz, — zawołał, pokazując pismo. — Czytaj!

Był to projekt Małego Przeglądu.

Czytałem o przyszłości pisma dzieci i młodzieży. Redaktor marzył o klubie młodych dziennikarzy, o własnym obszernym, jasnym lokalu, o kinie, o wspólnej pracy, ukazywał ogrom prac i zainteresowań naszego środowiska. Wiersze zda się drgały pod wrażeniem nowych myśli, uczuć i pragnień.

Dudniała jezdnia. Na chodniku zakłopotany tłum gonił swoje grosze i troski. W bramie chłopcy, pochyleni nad gazetą, przeżywali objawienie. Słowo przestało być kombinacją liter — zaistniało, jako potrzeba i dążenie. — W ciemnej sali podniosła się zasłona i światło reflektora padło na scenę młodego życia.

— Będziemy mieli gazetę!

— Nie będziemy już sami!

— Pomyśl: tylu nas jest w Warszawie, w całym kraju i zagranicą! Teraz pójdziemy wszyscy razem, usłyszymy głosy wszystkich rówieśników.

Niewiele dni upłynęło od chwili, gdy z podwórka dostałem się na ławę chederową. Na podwórzu wierzyłem, jak inni, że czas, gdy zabawa jest jedynem zajęciem, a radość jedynem uczuciem — trwać będzie wiecznie. Nagle stanąłem przed mełamedem. Zamiast zabawy, dano mi naukę — bezwzględną, wymagającą, z kańczukiem.

Nie miałem jeszcze ideału. Zaczynałem dopiero myśleć, zastanawiać się, krytykować. Ale już na widok przestępcy zjawiało się pytanie: dlaczego? Na widok aresztowanego bajglarza zaciskało się pięści. Przelana krew budziła niesmak i wstręt. Był to okres, kiedy dziecko zaczyna się dziwić. Dziwi się, że jest tak, a nie inaczej, że są ładni i brzydcy, mądrzy i głupi, biedni i bogaci. Okres, gdy łzy ukazują się w oczach na widok krzywdy, gdy radośnie daje się grosz żebrakowi z wiarą, że ten grosz wypleni biedę. Wreszcie był to okres, gdy na duszy, dopiero się budzącej, nudno jest i pusto, bo już niema zabawki, i jeszcze niema ideału.

Takich, jak ja, było wielu. Zagubiliśmy się w tłumie dorosłych. Wieczorem, wypuszczane z mrocznego chederu, szły ulicami, samotne w tłumie, grupy małych chłopców w czarnych kapotach i radowały się, smuciły, pragnęły, myślały i dziwiły się.

Nagle weszliśmy w tłum rówieśników. Było tam tysiące dzieci takich, jak my, onieśmielonych i zabłąkanych, ze wszystkich miast i miasteczek, z różnych dzielnic i rodzin.

W tej gromadzie tylko jeden był dorosły, opiekun i przewodnik: doktór Janusz Korczak.

— Mały Przegląd jest znienawidzony przez nasze ciotki i babki, — powiedziała Aneri.

Słusznie. Muszą nienawidzieć. One sądzą nas po pozorach, nie zadając sobie trudu, by zajrzeć do naszej duszy. Będąc przeciwniczkami uświadamiania życiowego, są w zmowie: nic nie powiemy, niech się dzieci bawią, — najłatwiej milczeć.

Gdy przypadkowo, biorąc do ręki Mały Przegląd, otwierają okno na nasze życie, przerażone zamykają je czemprędzej.

— Więc nasze dzieci myślą, pragną i tęsknią? Więc nasze dzieci wiedzą o tem, rozumieją tamto, a tę sprawę chcą zrozumieć? Chcą być mądrzejsze od nas, Zarozumialcy!

Kto zapomniał już swoje dzieciństwo i młodość swoją, czyja dusza wypłowiała, komu obca jest życzliwość i dążenie, — ten nigdy nas nie zrozumie. W każdym liście doszuka się demoralizacji, w każdem zdaniu znajdzie „między wierszami" to, o czem autor nigdy nie myślał.

Na szczęście nie wszyscy są tacy. Niedawno siedziałem w towarzystwie starszych, inteligentnych ludzi. Nie dziwcie się: czasem współpracownik Małego Przeglądu może się znaleźć wśród ludzi inteligentnych. Mowa była o dzieciach i o Małym Przeglądzie. Nie będę powtarzał wszystkich komplementów. Przytoczę tylko zdanie pewnej pani, nauczycielki:

— Mały Przegląd zrobił dzieciom wiele dobrego. I dorosłym także.

Zrozumiałem: dał im materjał do zrozumienia dzieci.

Co stworzył Mały Przegląd?

Dr. Korczak, przychodząc siedem lat temu do nas, wówczas dzieci, rzucił nam dwa piękne słowa: szczerość i prawda.

Za to nas cenią ludzie inteligentni i nie cierpią ci, którzy zamiast szczerości, pragną pobłażania i pokory, zamiast prawdy — bajki i „świętych kłamstw".

Od tego dnia, gdy w bramie czytałem z kolegą prospekt, minęło lat siedem. Co mi dał Mały Przegląd?

Pierwszy powiedział, że świat nie kończy się na progu chederu.

Pokazał, że nasze myśli, sprawy i przeżycia nie są głupie, ani naiwne, — są niemniej ważne od spraw ludzi dorosłych.

Pochnął mnie do pracy nad sobą, nauczył obserwować i szukać. Dzięki Małemu Przeglądowi jestem optymistą.

Chaim Ewen - Tachanah.

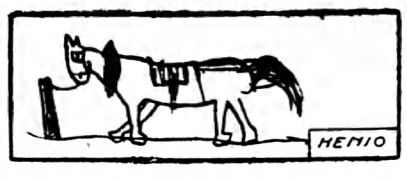

Mały Przegląd się zmienił. Zmienił się bezwarunkowo. Ale czy na korzyść? Nie wiem. Najmłodsi nie zachwycają się nim chyba, bo spoważniał, ale i ja spoważniałam i jestem zadowolona z tej matamorfozy Małego Przeglądu.

Traktuję go, jak swego dobrego Przyjaciela. Nie dlatego, że mu się zwierzam. Już teraz Małemu Przeglądowi nie można się zwierzać ze swych dziecinnych trosk, że brzuszek boli, lub starszy brat bije. Nie, tego już nie napiszę, bo to są sprawy dla mnie nieistotne i rzadko kto powierza swoje troski niedyskrecji maszyny redakcyjnej. To, co się przelewa na papier ze świadomością, że wszyscy mogą czytać, nawet wbrew woli traci wiele ze swej szczerości, ozdobione nalotami stylu.

Wiem, że bardzo często piszę nie dlatego, że mnie coś boli, ale dlatego, że czuję wewnętrzną potrzebę pisania. Dlatego właśnie lubię Mały Przegląd, że zaspakaja ten wewnętrzny popęd, (być może grafomanji), że mam się na kim wyładować, i... przywiązałam się do niego.

Pamiętam dziką radość z mojej strony, kiedy ujrzałam po raz pierwszy swój artykuł w numerze. Cieszyłam się naprawdę, jak małe dziecko, i prawie tak samo się cieszę za każdym razem, o ile artykułu nie spaskudzi zecer lub zgoła inny bies. Wtedy denerwuję się. Zresztą oczekuję piątku z niecierpliwością, tak, jak się oczekuje przybycia dobrego kolegi, czy koleżanki.

Dlatego właśnie mnie boli, kiedy Mały Przegląd reklamuje się. Były dwie reklamy. Dwie suche reklamy w Dużym Przeglądzie, które mi przypomniały, że Mały Przegląd, to jednak gazeta i interes. Możliwe, że to udorośla pismo dzieci i młodzieży, ale pocóż wzorować się na dorosłych w tym wypadku? Może redakcja myślała, że to się nam spodoba, że będziemy z tego dumni? Nie wiem. Być może, że byli tacy, którym to imponowało, ale jeżeli o mnie idzie — to taka reklama mnie lekko ukłuła i zabolała: ja jednak za wiele włożyłam serca w tę gazetę, i tak, jak zakochany widzi w swojej bogdance same zalety, ja wynoszę Mały Przegląd ponad pospolitość reklamy i nie chciałbym się zawieść. Zresztą — to jest mój pogląd. Jak myślą inni — nie wiem.

Tem niemniej jednak zmiany w Małym Przeglądzie odpowiadają mi. Przedewszystkiem dużo znaczy rozszerzenie go do rozmiarów sześciu stron. To było najważniejsze: aktualizacja. Recenzje nie będą czekały miesiąc na wydrukowanie, a sprawy bieżące, dopóki nie przestaną być bieżącemi. Następnie będzie więcej miejsca, a więc więcej będzie do czytania.

Zauważyć także należy, że Mały Przegląd nie wzoruje się na żadnem podobnem piśmie, że jest pierwszem i jedynem w tym rodzaju i to jest jego główny atut. I jednak, jakby nie było, Mały Przegląd tworzyliśmy wszyscy. Jeden dał projekt, drugi coś dorzucił... i pismo się ulepszało. Właśnie z tej unji w pracy jestem dumna.

My sami, pisząc, nie zdawaliśmy sobie nawet sprawy z tego, że tworzymy społem i chyba tylko redakcja może objąć i widzieć, jaka olbrzymia masa głów i piór tworzyła przez siedem lat Mały Przegląd.

Będziemy teraz obchodzić siedmiolecie istnienia naszego pisma. Phi, siedem lat, to jednak kawał czasu. Nie ziściły się jednak obawy D-ra Korczaka co do „słomianego ognia". Mamy z czego być dumni!

Może kiedyś weźmiemy na kolana nasze wnuczki, czy też wnuków i drżącemi palcami pokażemy im pożółkłe kartki starych numerów Małego Przeglądu.

— Patrz, — powiemy, — o czem myślała młodzież za naszych czasów.

—::—

Kubeł zimnej wody

W tym roku zarysowała się wyraźnie dość liczna grupa popularnych korespondentów.

Wiedzą, że naogół czytelnicy ich lubią. Co im się udaje, co mają w sobie dobrego, — o tem nieraz słyszą. Znacznie rzadziej mogą usłyszeć głosy niezadowolonych i zrażonych.

Bierzemy zeszłoroczną ankietę „O naszych autorach" oraz tekę p. n. „Rocznica", do której odkładano również uwagi krytyczne. Są tam nietylko same zachwyty i pochwały, ale i opisy, jak sobie wyobrażają znanych korespondentów, wynurzenia czytelnika, co go w nich razi, dlaczego nie lubi.

Niezawsze promienie słoneczne przynoszą pożytek. Czasem dobrze robi kubeł zimnej wody.

Więc na zdowie, kochani!

Luuu — w porządku alfabetycznym...

ANERI:

— Listy Aneri już mi kością w gardle stoją! Sama przyznała się, że w klasie jest „specjalistką" od robienia niewinnej minki w tym celu, aby móc palnąć jakieś potworne głupstwo. To samo robi w artykułach: niby nie wie, niby się wstydzi, a w istocie rżnie gładko i bezczelnie... Gdy zobaczę jej podpis, nie czytuję artykułu.

— Trochę płytka, niegłupia dziewczyna, o której zwykle się mówi: o, ta jest inteligentna! Przeciętny typ przeciętnej dziewczyny ze sfer kulturalnych.

— Wyobrażam ją sobie, jako tęgą dziewczynę, wysoką, zdrową. Lat ma chyba 16. Uważam, że jak na swój wiek nie jest mądra. W listach mocno blaguje.

— Właściwie to miły ptaszek. Przeskakuje z gałązki na gałązkę i ćwierka dosyć ładnie, sama nie wiedząc dlaczego. No, bo słonko przygrzewa i niema żadnych trosk, i w budzie udał się „kławy" kawał.

BASIA:

— Nie mówię, że mi się nie podoba. Zeszyt jej był szary, ale miał wdzięk. Widać było, że to nowa, nieśmiała współpracowniczka. W „Oksiutyczach" widzi się duży postęp. Jedno tylko mnie denerwuje: gada i gada, jak stara babcia, chce opowiedzieć dokładnie, żeby nie było żadnych wątpliwości. A ja właśnie chcę wątpić!

— Jeżeli pan zobaczy Basię, proszę jej powiedzieć, że ma u nas powodzenie, bo nie popisuje się i odczuwa przyrodę. Ale niech wie, że ma dużą wadę. Ona ciągle się spieszy, nie skończy jednego, już idzie dalej. Zaczęła opowiadać, jak chłopi obchodzą święto, ale zaraz zobaczyła loteryjkę i już zapomniała o chłopach, więc nie dowiedzieliśmy się, co się działo na placu w Grabarce.

CHAIM EWEN TACHANAH:

— Skąd wykopano tego mamuta? Trzy lata czytuję Mały Przegląd, nigdy nie było żadnego Tachany. Pisze, jak dorosły dziennikarz, więc poco go redakcja przyjęła? Niech idzie do Naszego Przeglądu.

— Zauważyłam rzecz dziwną. Oto współpracownicy, nie zadając sobie trudu wyszukania spraw aktualnych, biorą stare tematy, wymyślą efektowny tytuł i przerabiają starzyznę. Tak często robi Chaim. Weźmy jego „Cztery dni" lub „Lord Melchett na Nalewkach". W pierwszym artykule opisuje tyle razy wałkowane miasteczko, w drugim daje obrazek z ulicy. Stara się, aby wyszło zupełnie, jak w gazetach, więc trochę górnolotnie, nastrojowo i z humorem. Wprawdzie udaje mu się, jednak jest to przerabianie starego ubrania i w dodatku nie na naszą miarę.

DEWI Z BRZEŚCIA:

— Gdy ujrzę jego imię. wciąż jeszcze wydaje mi się, że zawsze ma przy sobie zapas rękawiczek, żeby rzucać przeciwnikom pod nogi na znak wyzwania na pojedynek.

DORKA Z ZAMOŚCIA:

— Czemu ona ciągle płacze? Zawsze roztkliwia się nad czemś zawsze coś ją smuci.

EDWIN:

— Doprawdy, mogę powinszować redakcji: chłopak do wszystkiego. Raz pisze o straży ogniowej, drugim razem o szachach, potem o wycieczkach. Jedzie do Zakopanego, potem na jakąś kolonję. Edwin tu, Edwin tam, — wszystkiem potrafi Edwin zapełnić bruljon 100-stronicowy.

— Jeżeli ten ważny Edwin myśli, że odkrył Amerykę, to się grubo myli. Przed wycieczką kierownik miał z nami pogadankę i radził to samo, co Edwin. To nie sztuka — pisać naukowo. Napisz tak, żeby było ciekawe.

— Co do Edwina, mam wrażenie, że jest synem zamożnych rodziców, sportowiec, który ma dużo wolnego czasu, dlatego może pisać o różnych rzeczach całe rozprawy na wielu stronach i w dalszych ciągach.

EFRAIM:

— On, waszyński i Burjan! On i Pogorzelska! On i Bodo! Rozparł się już na dwunastu krzesłach, klepie reżyserów po ramieniu, do niego uśmiechają się gwiazdy! Już zapomniał, jak patrzył na filmy przez dziurkę od klucza. Gdzietam! On — prasa, opinja!

— Chciałabym napisać recenzję, ale boję się Efraima.

— Jednak twierdzę, że recencje Efraima są nudne. Jego wywiady czytuję z przyjemnością, bo są żywe, zajmujące, zawsze się dowiem czegoś nowego z dziedziny filmu. Natomiast recenzje robi wszystkie na jedno kopyto.

— Efraim, mojem zdaniem, ma 15 lat, wysoki, zdrowy i barczysty. Czoło ma bardzo szerokie i wysokie, a oczy błyszczące w ciemnej oprawie. Wargi blade, szyja długa. Pisze chyba prosto, tak, jak myśli i czuje.

EMKOTT:

— Emkott jest za dowcipny, żeby mógł być szczery. 95 proc. buja.

— Nie lubię artykułów dowcipnych, przeforsowanych, gdy autor uznaje dowcip dla dowcipu.

—Z tej spółki wolę Ludwika, gdyż Emkott jest zarozumiały.

— Feljetony Emkotta są tak wygładzone, wystylizowane, każde słówko jest tak dopasowane, jakgdyby dbał tylko o tę „robotę", ale w jakim celu pracuje i czy ma słuszność — o tem wcale nie myśli.

FISZEL:

— Dawniej bardzo lubiłam Fiszla. Dawał mi przykład, jak można pisać zajmująco o rzeczach drobnych. Jego „Gwoździk w bucie" pouczał, że wszystkie wielkie przeżycia rozpoczynają się od drobnostek. Nieraz zadawałam sobie pytanie, czy jabym potrafiła tak pisać? Przychodziłam do wniosku, że nie. Teraz mniej go lubię, bo pisze tak, jak inni.

HENRYK:

— Gdzie tylko może, Henryk mówi: intelektualny. To jego ulubiony wyraz. Z tego wnioskuję, że chociaż jest mądry, nie zdaje sobie sprawy z swoich wad.

— W ostatnim liście Henryk pisze, że w zeszłym roku był silnym erotomanem. Powiedźcie sami: czy dwunastoletni chłopak może być erotomanem? Nie, jedno z dwojga: albo jest starszy, albo wyprzedza swój wiek.

— Szanuję Heńka za jego odwagę i szczerość. Nie mogę mu tylko darować jednego: że całą klasę uważał za smarkaczy. Nie jestem już z nim razem. Nie wiem, może teraz zmienił nietylko pseudonim, lecz i poglądy.

K A A A:

— Nie należę oczywiście do grona współpracowników Małego Przeglądu, nawet rzadko czytuję, jednak pozwolę sobie zwrócić uwagę. W jakim celu redakcja zamieściła w numerze 146 artykuł tajemniczego „Kaaa" o Kazimierzu, skoro podobne wrażenia z tego miasta i to w lepszym gatunku drukuje prasa codzienna, fakty zaś historyczne znajdują się w każdym podręczniku historji? Sądzę, iż zostało to podyktowane jedynie chęcią zadokumentowania, że i młodzież potrafi pisać poważnie, nawet na tak nudne tematy, jak krajoznawcze. Niestety, redakcja przeoczyła cele i zadania swego pisma. Proszę o wybaczenie i zrozumienie, że kieruje mną jedynie obawa, aby nie zmienił się, nie spospolicial charakter tej miłej i oryginalnej gazetki, którą niedługo zacznie czytać córka moja.

— Z tej całej paczki najpoważniejszym wydaje się Kaaa. Zawsze pisze długie artykuły, nie miele jęzorem pięknych słówek, dba o przykłady, fakty i umie powiedzieć dowcip wtedy, gdy trzeba. Ale poco wybrał sobie afrykański pseudonim? Murzyn jakiś: Kaaa...

KUBA H.

— W zeszłym roku napisałem, że pragnę zostać reporterem sportowym i mogę pokazać zaświadczenie. Redakcja nie miała do mnie zaufania. Trudno, myślałem, może znajdą lepszego. Teraz macie Kubę! Już nie było gorszej łamagi? Co to za sportowiec? Niech przyjdzie do Ascoli, to go chłopak z trzeciej klasy położy i wyliczy do 10.000!

— Kiedy już reporterzy Małego Przeglądu przestaną mieć tremę? Ciągle chodzą na wywiady i wciąż zaczynają reportaż od tego, jak strasznie się bali, jak, nieśmiało zapukali, jak drżącym głosem zapytali... i t. d. Ostatnio popisuje się skromnością Kuba H. Posłano go do gimnazjum żeńskiego. Bał się strasznie, dodawał sobie „kurażu", jednakże widzę, że zachowywał się tam, niczem salonowiec.

MIETEK Z MURANOWSKIEJ:

Brak krytyki. Jedna tylko była uwaga, którą zamieściliśmy w Wiadomościach Bieżących 20-go września.

PSEUDOS:

— ...Wreszcie czwarta grupa: panienki małych miasteczek. Na czele ich kroczy modrooka Pseudos, grecka bogini tęsknoty i westchnień twarzowych. W rozpuszczonych włosach idą jesiennym gościńcem, bosemi nóżkami stąpają po liściach pożółkłych. Ręce załamane, oczy zapłakane... — Ach, już nie wróci ta noc! — Jaka noc? — No, kiedy byłam maleńka i jechałam do babci.

LEJZOR Z GĘSIEJ:

— Podaję projekt, aby pod każdym artykułem, gdzie jest podpis, dodawać, ile autor ma lat. Bez tego często nie wiem, co mam sądzić o autorze. Naprzykład, Lejzor ma swój sposób pisania. Trzyma się życia, jednak to życie wygląda u niego inaczej, niż w innych listach, — jak na obrazku. On lubi kombinować.

LEON G-RG:

— Myślę, że Leon jest bardzo nieszczęśliwy. Jabym się wstydził opowiadać takie rzeczy.

— Leon otworzył przed nami swoje serce i swoją duszę — serce i duszę wykolejeńca. Słowa jego są zbyt szczere, żebym mogła wątpić w ich prawdę. Tylko czasem zastanawiam się: czy niema w tem wszystkiem trochę prozy?

LUDWIK:

—Wyobrażam sobie Ludwika, jako chłopca szczupłego, który czesze się do góry, na jeża.

— Wszyscy są przekonani, że Ludwik jest wybitnym realistą. Nie zgadzam się. Napewno jest bardzo sentymentalny i wstydliwy, tylko umie dobrze ukrywać swoje uczucia. Nie założyłbym się o to, czy pisze wiersze.

— Ma najlepszy styl, ale najmądrzejszy jest Salek.

— Ludwik przypomina sobą wilka. Długo kryje się, aż wszyscy zapomną o nim, wtedy znienacka rzuca się na stado i porywa najtłuściejszą owcę. Robi się wrzask, ale już go niema. Znów czeka i znów się rzuca.

— W ostatnich Wiadomościach Bieżących redakcja podkreśliła, że nie życzy sobie współpracy z efekciarską, krzykliwą młodzieżą. Słowa godne wielkich wychowawców. Tylko tak już bywa, że inaczej się mówi, a inaczej robi. Czemu w takim razie redakcja faworyzuje rozmaitych Ludwików? Właśnie on jest przedstawicielem tej młodzieży, przed którą niby się zamyka drzwi, gdyż zajmuje się wyłącznie efektami i wywoływaniem krzykliwych dyskusji.

LUSIA Z CZĘSTOCHOWY:

— Lusia z Częstochowy żyje, myślę, w środowisku inteligentnem. Ojciec jej zajmuje się pewnie inżynierją, medycyną lub ma inny zawód wyzwolony. Może mieć 13 lat.

— Lusia ma dużo wspólnego z Aneri, ma niektóre je wady, jak płytkość, chociaż jest milsza, bo niema w niej pretensji, sztuczności.

SZLAMEK Z OTWOCKA:

— Kronikarze zwyciężają. Fiszel już dawno po „stuliściu", a Szlamek, bardzo podobny do niego, po jubileuszu dostał w prezencie cały Otwock. Wątpię, czy coś tam zrobi. Do Otwocka trzeba było posłać starszego, na przykład Leona G—rga, tembardziej, że jest bezrobotny.

STEFA:

— Stefa z Nalewek napewno dobrze się uczy, nie jest chyba ładna (za dużo ma zdrowego rozsądku), ale mądra i zdolna.

RITA:

— Podoba mi się Rita, bo pisze bez żadnych ozdób, dba tylko o samą myśl. Jabym jej poradziła zmienić styl, bo myśli jej są ciekawe, ale słowa drewniane, ciężkie, zupełnie książkowe.

WIENIA Z BIAŁEGOSTOKU:

— Więc Wienia przestał już być samodzielnym redaktorem i wydawcą rozmaitych pism? Musi jeść chleb z cudzego pieca — został reporterem. Takie to dziś czasy... Wyobrażam sobie, że chodzi w Białymstoku na głowie, robiąc wywiady, z kim się da, poczynając od podwórzowego Rycerza Rudego Ogona.

Za co kocham?

Mały Przeglądzie!

Znam cię od pierwszej chwili twego istnienia. Nie przepuściłam ani jednego numeru. Przeżyłam wszystkie radości i smutki twoich współpracowników. Martwiłam się, że Moniusiowi ząb wyleciał, że inny chłopczyk musi chodzić w fartuchu (o wstydzie, jak dziewczynka), że jakiejś dziewczynce kotek uciekł. Cieszyłam się, że Alinka ma nowy, śliczny pokoik, że Chańcia już chodzi do szkoły, że pani Bubusia jest bardzo miła, że szkoła Jurki ma nowy, jasny i obszerny lokal, i że Tobcia ma na cenzurce same piątki.

Pokochałam cię, mój przyjacielu, serdecznie i szczerze.

Pokochałam się za twój stosunek do dzieci, za twą rozumną pracę, za oddziaływanie na dzieci przez dzieci. Pokochałam cię za twój charakter jasny i pogodny, chociaż często szpalty twe płaczą nad sieroctwem chłopca lub dziewczynki i żalą się nad biedą rodzin i jednostek.

Opowiadasz o smutkach, a jednak się uśmiechasz. Dlaczego? Bo jesteś dzieckiem, które zawsze uśmiechnie się, nawet przez łzy, dzieckiem, które kocha świat, ludzie i życie i samo cierpiące, niesie pomoc innym.

Pokochałam się, Mały Przeglądzie za to, że jesteś naturalny, pełen życia; za to, że serce twe bije równym rytmem wraz z sercem tysiąca dzieci żydowskiech, dzieci, które chodzą do szkoły, i tych, które pracują.

Rozwój twój, Mały Przeglądzie, jest imponujący. Stajesz się codzień doskonalszy. W każdym numerze znajduję coś nowego. Widać staranie o treść i formę i pracę nad sobą.

Żmudna i ciężka, lecz radosna, bo owocna praca twa spełnia swe zadanie. Wychowujesz ludzi bez szumnych frazesów, fałszywych „metod pedagogicznych" i nudnych morałów. Prostota, miłość i zrozumienie — oto twoja metoda.

Nie pisałam przez tyle lat ani razu. Nie wiem, dlaczego. Może przez lenistwo, może przez nieśmiałość, a może z innej przyczyny; dość, że nie pisałam.

Zdanie sobie sprawy, dlaczego się czegoś nie robiło, jest ogromnie trudne, prawie niemożliwe, a w każdym razie jałowe.

Przez siedem lat rozpatrywano zagadnienia i poruszano tematy, z których wiele było dla mnie interesujących. Przemyślałam, czasem bolałam niejeden temat. rozwinęłam w duchu niejedną myśl, ale nie pisałam. Źle się stało.

Trudno. Nie można cofnąć czasu i przeżyć po raz drugi dni minionych, a gdyby nawet można było, teżbym nie chciała. Poco?

Znów te same myśli, uczucia, marzenia, smutki, radości. Wolę iść dalej, naprzód. Przyszłością naprawić przeszłość. Może nie naprawię? Kto wie. Niczego nie obiecuję. Początek robię teraz, a co dalej — nie wiem.

E. D.

SKRZYNKI „MAŁEGO PRZEGLĄDU"

B i a ł y s t o k. — Wienia Zabłudowski — Polna 5, m. 1.

C z ę s t o c h o w a. — Lusia Ingberówna. — Piotrowska 29.

Ł ó d ź, — P. Liberman. — 11-go Listopada 40, m. 14.

O t w o c k. — Szlamek Kurcbard — Warszawska 27, m. 2.

—::—

KTO BĘDZIE REDAKTOREM TEJ STRONICY?

(Zamiast rozrywek umysłowych)

Masz przed sobą 11 pierwszych rękopisów ze stosu ostatniej, t. zn. 49-ej poczty. Wydrukowano je bez żadnych zmian. Jeżeli niema tytułu, znaczy, że autor nie zatytułował, więc podałem tylko kolejny numer, pod którym odnotowano w dzienniku jego rękopis.

Czy chciałbyś mnie wyręczyć? — Więc przedewszystkiem przeczytaj uważnie całą stronę. Następnie czytaj poraz drugi, podkreślając czerwonym ołówkiem błędy i słowa lub zdania zbyteczne. Sprawdzasz, czy tytuł odpowiada treści, jeżeli nie, dobierasz odpowiedni.

Przysyłasz do redakcji:

1. — tę stronę (podkreślenia w tekście oraz uwagi na marginesie);

2. — listę artykułów, które kwalifikujesz do druku, wraz z uzasadnieniem. Rękopisy, których z braku miejsca nie wydrukowano tu w całości, oceniasz warunkowo: „jeżeli dalej pisze tak samo, uważam, że"...

3. — listę artykułów, których drukować nie należy i krytykę tych artykułów;

4. — odpowiedź: kogo z autorów należy zaprosić do redakcji i w jakim celu?

Możesz to zrobić w ciągu tygodnia. W niedzielę, 22-go października, przejrzę prace moich zastępców.

Najzdolniejszy redaktor otrzyma nagrodę: bon na książki lub pomoce szkolne wartości 20 zł.

Redaktor.

* * *

NR. 4028.

Proszę wybaczyć, że tak pokracznie piszę, ale ręka mi drży, dziś opadła gorączka malaryczna i jestem bardzo słaby.

Ludzie, którzy mię znają, przyzwyczajeni są do tego, że ciągle muszą odemnie albo od osób trzecich słyszeć o jakichś moich awanturach albo przygodach miłych albo mniej miłych. Rzeczywiście często u mnie coś się dzieje, bo rzadko dłużej siedzą w jednym miejscu, jak tydzień — dwa. Ale ostatnio stało się „dookoła Wojtek" — odbywam króciutkie podróże — tam i zpowrotem. Palestyna taka ciut—maleńka. Pociągi tu tak się wloką, jakby miały astmę. Tubylcy twierdzą, że gdyby prędko jechały — przez nieuwagę przeleciałyby granicę. Ja też dlatego tylko jeżdżę autami.

Ale są znajomi, którzy do mnie mają pretensje, że mi się nic niezwykłego nie przytrafiło w tym miesiącu. Takich przez grzeczność potrafię tak oblagować, że nie mogą wyjść z podziwu. A blaguję tak umiejętnie, że sam w końcu w to wierzę.

Ale przecież w ciągu dwuletniego prawie pobytu w Palestynie i otarcia się o Syrję i Egipt coś nie coś się widziało. Obiecuję, że pisać będę tylko prawdę. Jeśli będzie coś niezgodne z prawdą, daję sobie uciąć ucho. Niech tylko cenzura pana redaktora je przepuści: prawdy miłe i mniej miłe, bo u nas w golusie, wszystko co palestyńskie, przedstawione być musi koniecznie w różowych barwach i w zielonem obramowaniu.

(Pierwsza strona bruljonu reportera Harrego z Palestyny).

* * *

JAK SPĘDZIŁEM ŚWIĘTA.

Poszedłem do bóżnicy, modliłem się długo. Potem poszedłem do domu. Zjadłem obiad i poszedłem bawić się z kolegami. Wieczorem poszedłem znowu do bóżnicy i modliłem się krótko. Po modlitwie poszedłem do domu, zjadłem kolację i poszedłem spać. Tak spędziłem święta.

Leib z Solca.

* * *

WSPOMNIENIA Z POŻARU.

Gdy byliśmy na letnisku w roku 1931, mieliśmy pożar w drugiej willi. Było to tak: pewnego ranka mniejwięcej o godzinie szóstej obudził nas przeraźliwy krzyk dozorczyni i stukanie w okienice. Ojciec zerwał się gwałtownie i pyta się dozorczyni o przyczynę. Odpowiedziała, że las w naszej willi pali się. Po pięciu minutach wszyscy w naszem mieszkaniu byli już ubrani. Ojciec pierwszy wybiegł na podwórko, żeby zobaczyć, co się stało. Niedługo później przyszedł (?) i powiedział, że pali się dwupiętrowy dom w drugiej willi. Kiedy wysłuchałem wszystkiego, udałem się z bratem w kierunku płonącego domu. Na ulicy siedzieli ludzie ze swomi dobytkiem, leżeli także ranni, którzy wyskakiwali z okien lub werand. Wszystko aż przejmowało na widok tych ludzi, którzy zostali bez dachu nad głową. Stojąc tak z bratem, zauważyłem, jak nadjechała straż ogniowa. Spaliło się w tym domu pierwsze i drugie piętro, a parter został. Gdy wszystko obejrzałem, wróciłem smutny do domu i ze łzami w oczach usiadłem do śniadania.

Dewi z placu Trzech Krzyży.

* * *

Nr. 4026.

Poszedłem do ogródka puszczać latawca. I zauważyłem: jaskółka siedzi na ziemi. Wziąłem i zaniosłem ją do domu. W domu wziąłem klatkę i wpuściłem ją. Wsypałem ziarenka. Nie chciała jeść, tylko piszczała żałośnie. Wziąłem jaskółkę i zaniosłem ją do ogrodnika. Tam wypuściłem ją, bo już niedługo miała odlecieć do ciepłych krajów.

Z. K. z Browarnej.

* *

ROZWAŻANIA NOWOROCZNE.

Każdy naród kulturalny ma swoją rachubę czasu, która zaczyna się od pewnej ważnej daty. Chrześcijanie naprzykład liczą czas od chwili narodzenia Chrystusa, mahometanie od pojawienia się proroka, żydzi od powstania świata.

Wczoraj zakończył swe panowanie rok stary, a Rok Nowy dopiero ukazuje się przed naszemi oczami. Dzień dzisiejszy poświęcony rozmyślaniom o wypadkach, które zabrał ze sobą zgrzybiały starzec, rok stary. Jeżeli znajdziemy błędy popełnione, staramy się ich w przyszłości unikać. Staliśmy się o rok starsi. Przybył nam rok doświadczenia i rozwagi. Rok Nowy, czysta niezapisana kartka naszego sumienia, otwiera przed nami swoje podwoje. Minie on znów, jak strzała. Starajmy się, by praca nasza wydała obfite plony.

Rudolf z Wilna.

* * *

NR. 4028.

Byłam wraz z koleżankami w waszej redakcji. Przed wejściem do lokalu myślałam najwięcej o Małym Przeglądzie. Przedstawił mi się on takim, jaki jest w rzeczywistości. Gdy weszłam do pokoju Małego Przeglądu, byłam zachwycona pięknemi obrazami, wykonanemi przez współpracowniczki Małego Przeglądu. Chciałabym i ja coś zrobić dla Małego Przeglądu i przyłączyć się do koła współpracowników. Postanowiłam pisać: listy, artykuły i wiersze, aby też przyczynić się do rozwoju gazety „Małego Przeglądu". I oto teraz załączam do listu dwa wiersze, i prosiłabym, aby były wydrukowane w Małym Przeglądzie. Mam nadzieję, iż redakcja nie odrzuci mojej współpracy.

Z poważaniem

Franka.

Wiersz p. t.

* * *

„JUŻ SKOŃCZYŁY SIĘ WAKACJE".

Już skończyły się wakacje!
Słychać wszędzie serca głos,
Do nauki! precz wakacje!
Gdy już ona czeka nas.
Książka, zeszyt, piórnik,
pióro,
O tem wszystkiem mi się śni.
Och, jak prędko poleciały
Te szczęśliwe błogie dni.
Wróćcie wreszcie już
zabawy!
Bo ja o was zawsze śnię.
Już wróciły mi obawy,
Jakie stopnie mieć będę.
Ach, wy cudne dni błękitne,
Wróćcie nam miniony czas,
Gdyż zobaczyć chcę znów
jeszcze:
Pola, łany, łąki, las!

Franka.

* * *

SKUTKI PIJAŃSTWA.

Jednym z najstraszliwszych nałogów, gnębiących ludzkość, jest pijaństwo. Pociąga ono za sobą niezliczone ofiary, rujnuje zdrowie i obniża moralność jednostek, a tem samem ujemnie się odbija na całem społeczeństwie. Zgubny ten nałóg wyniszcza organizm człowieka, zmniejsza jego odporność, czyni go podatnym na rozmaite choroby. Pijaństwo może uczynić z człowieka, pełnego sił, kompletną ruinę. Skutki pijaństwa skupiają się nietylko na tych, którzy się temu nałogowi oddają. Sięgają one dalej jeszcze, są przyczyną niedorozwinięcia fizycznego lub umysłowego następnych pokoleń. Pod względem moralnym pijaństwo obniża godność człowieka, spycha go do stanu zwierzęcego. Pijak zapomina o zakazach moralnych, czyny zaś jego są następstwem zamroczonego umysłu.

Ze stanowiska społecznego pijaństwo jest bardzo szkodliwe. Ilość pijaków w danem społeczeństwie jest wyrazem stopnia kultury. Im więcej pijaków, tem mniejszy poziom kulturalny i odwrotnie, państwa, będące na wysokim szczeblu cywilizacji, mają mniejszą liczbę pijaków.

Muszę jednak zaznaczyć, iż zauważyłem także wśród dzieci i młodzieży pijaństwo. Radzę więc wszystkim, żeby starali się zwalczać ten straszny nałóg, który niszczy wiek tysięcy młodzieży. Więc wszyscy stańmy pod hasłem: „Precz z pijaństwem"!

Józiek z Otwocka.

o o o

MOJA WYCIECZKA LETNIA.

Kilka tygodni temu wybrałem się z kolegami na wycieczkę w okolice Otwocka.

Wycieczka ta zabrała nam prawie trzy dni czasu, lecz dużo na tem skorzystaliśmy.

Ażeby czytelników zapoznać z położeniem tych okolic, opisze tę wycieczkę innym stylem, niż każdą.

W odległości 7 klm. od Otwocka znajdują się malowniczo położone ruiny zamku w Otwocku Wielkim. Pałac, zbudowany na wyspie jeziora, z rozległym starym parkiem, prześlicznie zadrzewionym, znajduje się w odległości pół kilometra od Wisły. Na jeziorze są łódki dla przejażdżki. Po drugiej stronie Wisły, dokąd można się dostać w ciągu pół godziny promem lub łódką, leży pięknie położone miasteczko Góra Kalwarja, a obok zwalska zamku Czersk. Bliżej zaś położoną okolicą, o 2 klm. od Otwocka, jest Świder z ładnym widokiem na most przez rzekę tej nazwy. Idąc w dół tej rzeki, w odległości pół kilometra spotkać można malownicze Brzegi, dalej w tymże kierunku Bojarów, skąd widać Wisłę o niecały kilometr stamtąd przepływającą. Tegoż samego dnia po zwiedzeniu Śródborowa i innych miejscowości udaliśmy się do domu, gdzie po kolacji zmęczeni i ziajani układliśmy się (?) do snu.

Józiek z Otwocka.

* * *

JESIENNY DZIEŃ.

Piszę poraz pierwszy i z wielką obawą, bo nie wiem, jak zostanę przyjęta. Może Mały Przegląd wrzuci mój list do kosza, twierdząc, że się nie nadaje? Nie mam jednak pewności i stąd ta chęć pisania, chęć połączenia się z wielką rodziną młodzieży.

Bije godzina. Jaka? (czy mówi się: jaka godzina? — Dop. red.) Nie usłyszałam. Trudno, nie będę się nad tem głowiła. Już moja myśl odbiega gdzieindziej (?) Wzrok zatrzymuje się na szybach, po których cicho płyną wielkie krople deszczu. Napawa mnie to wielkim smutkiem. Och, jak deszcz wstrętnie usposabia! Wychylona przez okno i zamyślona, nie spostrzegłam nawet, jak po twarzy popłynęły mi łzy i złączyły się z mętnemi kroplami deszczu. Obecnie płyną razem, tworząc brudną smugę na mojej twarzy. Dopiero teraz widzę, że wyglądałam przez okno tak długo, a jednak nic nie spostrzegłam. Ogarnia mnie chęć przyjrzenia się ludziom, odgadnąć ich smutki i radości. Coby to było, gdyby można było odgadywać cudze myśli! Jestem pewna, że byłoby to dobre. Jednak już w następnej chwili zmieniam zdanie. Nie, nie byłoby to dobre, ludzie byliby nieszczęśliwi, nie swobodni, ogłupieliby do reszty, nie myśleliby wcale, wiedząc, że ktoś ich myśli zna. Wstrząsnął mną dreszcz, och, jak zimno! Zrezygnowana zamykam okno, zdając sobie sprawę, że już jest zupełnie ciemno, że pisać niesposób i och, boleści! — nabawiłam się kataru! Rozbieram się leniwie i kładę się spać.

Dobranoc, Mały Przeglądzie!

Gina.

* * *

DAWNIEJ A DZIŚ.

Już prawie pięć lat, jak nie pisałam i nie czytałam Małego Przeglądu. Dlaczego. Mając 10 lat, uważałam go za głupi i nieciekawy, nudziły mię wszelkie wynurzenia siedmiolatków lub moich rówieśnic, i zupełnie go wykreśliłam z mojej lektury. Choć go zawsze miałam w domu, nigdy nie zajrzałam doń. Na raz wzrok mój padł na jeden z ostanich numerów i.... o dziwo! Z wielkiem zainteresowaniem zaczęłam czytać i muszę przyznać, że spędziłam kilka miłych beztroskich chwil!.. Zupełnie nie ten sam! Znalazłam w nim wiele ciekawych artykułów, wiadomości ze świata itd. Ach, jak żałuję, że i ja nie dołożyłam cegiełki do jego rozwoju. Ale jeżeli nic nie stracone, rozpocznę współpracę od dziś i ślubuję, że będę pracować, i o ile mi sił i czasu wystarczy! W dowód tego zasyłam (?) wiersz, jako początek.

O MOJEJ OJCZYŹNIE.

Tam... w tej cichej, jasnej
dali...
Tam... gdzie słychać cichy
szept Jordanu,
Tam... gdzie palestyńskie
słońce pali(?),
Tam... gdzie widać drogi
Kanaanu.
Tam... gdzie piaski bieleją
pustynne,
Tam... gdzie słońce sypie
iskier tysiącem,
Tam... gdzie kwitną lilje
niewinne,
Tam... ma ojczyzna, najpiękniejsza pod słońcem!!!
Wysmukłe cedry pną się
pod niebiosy (?),
Palmy z ramiony rozwartemi (?),
Jakby chciały przytulić te
gaje, te puszcze, te lasy,
By na wieki pozostać razem
z niemi.
Księżyc patrzy ciekawie,
A tam... wysoko... daleko...
Pan strzeże ten kraj, gdzie
marzenie jest na jawie,
Gdzie baśń w słodką prawdę
się przyobleka!!!

Sylla.

* * *

NA POLSKIEJ KOLONJI.

1.

Niebardzo miło (?) spędziłem wakacje w tym roku. Właściwie nie całe, gdyż tylko przez cztery tygodnie przebywałem na polskiej kolonji. Nie było mi tam dobrze. Nie będę opisywał o higjenie, o jedzeniu (czy tak się mówi? Jak należy powiedzieć? — Dop. red.), ale o stosunku polskich chłopców do nas, do „Żydów" (czy jest potrzebny cudzysłów). Było nas tam bardzo mało. Kolonja składała się z 120 polaków i 10 żydów. Dnia 19 lipca wyjechaliśmy z Warszawy. Odrazu w pociągu uczułem (?), że pomiędzy tymi chłopcami dobrze mi nie będzie. Oni przez cały czas wyglądali oknem pociągu, a nas nie dopuścili do niego nawet na chwilkę. Dlaczego? To zupełnie proste. Przecież my jesteśmy żydzi, Mośki. Gdy poprosiłem jednego, by mnie dopuścił do okna, ten powiedział: Mośków i Icków do okna się nie dopuszcza. W drugim przedziale było wesoło. Oto zebrali się najstarsi chłopcy i śpiewali jakieś piosenki o żydach. O godz. 2.30 przyjechaliśmy na miejsce. Na stacji zauważyłem jednego żydowskiego chłopca, który stał w grupie mniejszych i płakał. Doszedłem do niego i spytałem się, czemu płacze. Odpowiedział, mi że mu dokuczają. Uspokoiłem go i wróciłem na swoje miejsce, przekonany, że nam tutaj dobrze nie będzie. Wpierw myłałem, że jeśli my będziemy im ustępowali z drogi, to oni nam nic złego nie będą robili. O kilka kroków odemnie stał chłopiec i płakał. Dlaczego płakał? To samo było z nim, co i z tamtym chłopcem. (Dwie pierwsze strony zeszytu Szmulka).